



U krańca nadziei spotkamy światło cieni

nimfa bagienna



Ostatnia twoja powieść, „Kraniec nadziei”, to pełnowymiarowa space opera. W zeszłym roku ukazało się „Światło cieni” - czyste, klasyczne hard SF. Podobno popularność opowieści dotyczących tematyki „kosmicznej” spada, a za powód takiego stanu rzeczy uważane jest obniżenie poziomu wykształcenia z przedmiotów ścisłych i zwyczajny brak wiedzy, nie pozwalający zrozumieć zbyt „naukowo” napisanych historii. Ty jednak w czasie nieco tylko dłuższym niż pół roku wydałeś dwie książki, które można zaliczyć do rasowej fantastyki naukowej. Kierował tobą optymizm czy niewiara w jeremiady dotyczące obniżenia się poziomu umysłowego społeczeństwa i upadku czytelnictwa?

Jeśli chodzi o „Światło cieni”, Dom Wydawniczy REBIS poprosił mnie o powieść ambitną, typowe SF starej szkoły, co bardzo mnie ucieszyło, bo od dawna chciałem coś takiego stworzyć. W ogóle seria Horyzonty Zdarzeń miała stanowić zbiór właśnie takich książek. Inna rzecz, że wyszło jak wyszło – znalazły się w niej także rzeczy typowo rozrywkowe. A ja – jak zwykle naiwnie wierzący w porozumienia i układy z wydawcami i różnymi redaktorami – zostałem z ręką w nocniku. Bo przecież wiadomo, że lepiej sprzedają się pozycje łatwiejsze. Ale cóż zrobić, stało się, a na pocieszenie zostaje mi myśl, że nie muszę się tej książki wstydzić.

„Kraniec nadziei” to z kolei była dla mnie znakomita zabawa. A z opinii czytelników sądząc, nie tylko dla mnie. Jednak muszę zauważyć, że wspomniany przez ciebie problem z poziomem kształcenia, szczególnie w przedmiotach ścisłych, jak najbardziej istnieje. Z pewnym niedowierzaniem bowiem czytałem recenzje i recki, w których wyrażano opinię, że dużo (nawet za dużo) w tej powieści naukowości... Jezu Chryste, te parę rozważań na temat zjawisk kosmicznych i mechaniki kwantowej to dużo?! A ja tak się powstrzymywałem, żeby nie dać tego więcej! I miałem nawet wyrzuty sumienia, że za mało „unaukowiam” tę pozycję.

Na pytanie, co mną kierowało, kiedy brałem się właśnie za takie akurat gatunki, mogę powiedzieć tylko jedno – napisałem to, co mi się podobało, i co akurat chciałem napisać, *no more, no less*. Tak mi już w duszy zagrało. A że gra mi w tej duszy bardzo różnie... Przynajmniej się nie nudzę, uprawiając bez ustanku jedną skibkę. Lubię urozmaicenie. Właśnie skończyłem pisać trzeci tom „Wilkozaków” i

wziąłem się za drugą część Rubieży Imperium. Następnie usiadę do powieści dla Rebisu, a konkretnie ciągu dalszego „Światła cieni”. No i zobowiązałem się dać premierową powieść dla Book Rage, a będzie to na pewno coś z mocnym przymrużeniem oka. Od samego początku pracy twórczej miałem spory rozrzut.

W twoim dorobku literackim znajdują się bardzo zróżnicowane gatunkowo pozycje - kryminały, fantasy historyczne, SF, historie wojenne. Jak do tej pory udało ci się uniknąć opowieści o roznamiętnionych wampirach, co ogromnie ci się chwali. Który gatunek jest ci najbliższy? Czego jeszcze nie próbowałeś pisać, a może byś chciał?

Zacznijmy od ostatniego pytania. Trudno powiedzieć. Odrzekłbym – chciałbym napisać romans, lecz jeśli się przyjrzeć bliżej, to czymże innym są „Czarny pergamin” i „Przy końcu drogi”, jak nie romansami, w dodatku rycerskimi? Albo „Kamienne twarze, marmurowe serca”? I parę innych moich książek? Generalnie poruszam się w sferze uczuć w każdym utworze, tym bardziej że najbardziej interesuje mnie człowiek.

Na pewno wezmę się kiedyś za jakąś typową obyczajówkę, coś blisko tak zwanego mainstreamu.

Który gatunek jest mi najbliższy? Chyba za każdym razem ten, w którym właśnie piszę.

O wampirach nie pisałem, nie piszę i zapewne nie będę pisać, bo moim zdaniem one są zwyczajnie nudne. Nie – nie zwyczajnie – przerażająco nudne. Taka strzyga, pełna dzikości, krwista i krwawa, to jest postać żyjąca własnym życiem, niezależna i dumna. Wilkołak, miotający się między światami ludzkim i zwierzęcym może zafascynować twórcę i zapłodnić wyobraźnię. Nawet kukły zombie posiadają jakiś charakter, dają się ciekawie opisać. A wampir? Ten jest tylko o tyle interesujący, o ile wleje się w niego coś ludzkiego, z pustego wora uczyni istotę na kształt człowieka. A po co? Takich psychopatów pęta się po świecie cała rzesza, tylko zęby mają mniejsze, albo zgoła posiadają ubytki w uzębieniu. Przecież w postaciach fantastycznych ciekawa jest inność, a wampiry zachowują się jak typowa ludzka banda i raczej trudno coś sensownego z tym zrobić. Wyjątkiem jest tutaj może obraz „Nosferatu – symfonia grozy” oraz jego znakomity remake „Nosferatu wampir”, ale jak dla mnie – formuła wampiryzmu została przez te filmy wyczerpana. No i jest jeszcze „Wywiad z wampirem” – ale właśnie w tej pozycji jaskrawo zostało ukazane, jacy z tych nieumarłych są potworni nudziarze.

A czego na pewno nie napiszesz (jeśli cokolwiek można twierdzić na pewno) i dlaczego?



No właśnie, niczego nie można twierdzić z całą pewnością. Gatunkowo nie widzę możliwości, żebym chciał przed czymś uciekać.

Wiem natomiast, czego bym na pewno nie chciał napisać – jeśli idzie o treść – czegoś głupiego. Kretyńskiego. Jakichś nieszczęsnych „50 twarzy”.

Z wykształcenia jesteś psychologiem, ale bez trudności poruszasz się w tematach ściśle naukowych. Zdradź sekret, ile czasu zajęła ci kwerenda do „Krańca nadziei”? I co w tej kwestii zasugerowałbyś początkującym autorom, którzy chcieliby spróbować sił w tym gatunku? Jakie pułapki mogą na nich czyhać, jeśli niezbyt dokładnie „odrobią lekcje”?

Tutaj – jak powiedziała by Kolega Kierownik – dotkliście, koleżanko, nabrzmiałemu problemu.

Bo kwerenda do „Krańca nadziei” z jednej strony zajęła mi dosłownie godziny, ale z drugiej – całe lata. Interesuję się od zawsze mechaniką kwantową, funkcjonowaniem znanego nam wszechświata, wszystkim tym, co stanowi jądro pojęcia „science” w naszym ulubionym SF, a to sprawia, że pisząc taką książkę, po prostu jadę z koksem i sprawdzam tylko, czy się gdzieś nie machnąłem, albowiem pamięć zawodna jest. A czasem się „macham” nawet celowo, żeby to czy tamto uprościć i uczynić strawnym dla czytelnika. Podsumowując – to te lata zdobywania informacji, śledzenia najnowszych odkryć stanowią o możliwości ugrzyzenia tematu.

Rada dla młodych... No cóż, młodzi autorzy powinni czytać, czytać, czytać i jeszcze potem sprawdzać, czy dobrze przeczytali. Ale myślę, że najprościej jest pisać o tym, co człowieka interesuje, zamiast rzucać się na materię kompletnie nieznaną, a co gorsza – obojętną pisarzowi. W SF od pułapek aż się roi. I naprawdę nietrudno o wpadkę – sam popełniam błędy, które czasem redaktor jeszcze wyłapie, a czasem nie. Przede wszystkim, uniwersum powinno się trzymać kupy, a realia świata muszą być autorowi doskonale znane, a nie improwizowane na poczekaniu. Nie wolno tutaj macać na oślep. Ale akurat ta uwaga dotyczy całej literatury, nie tylko działki fantastycznej.

Od czasów Lema ze słowem „fantastyka” nieodmiennie kojarzy się drugie: „futurologia”. Pokolenie dzisiejszych trzydziesto-pięćdziesięciolatków żyje w czasie lawinowo narastającego postępu technologicznego; rozwiązania, które byłyby nie do pomyślenia

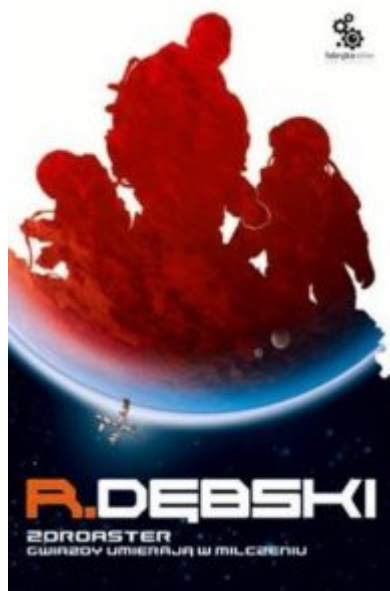
przed dziesięciu laty, dziś podbijają świat - pierwsze, co nasuwa mi się na myśl, to drukarki 3D. Czy mógłbyś zabawić się w futurologa bliskiego zasięgu i ocenić, jak mógłby wyglądać świat za lat dwadzieścia?

I właśnie dlatego, że – jak sama mówisz – postęp technologiczny następuje w takim tempie, nie lubię bawić się w proroka. Łatwiej mi zresztą przepowiadać, jak świat będzie wyglądał za lat dwieście, niż dwadzieścia, bo długa perspektywa pozwala na większy poziom ogólności.

Ale niech będzie – za dwadzieścia lat człowiek zacznie się już łączyć z mechanizmami i komputerami organicznie – różnorakie implanty, egzozszkielety lub ich elementy zaczną wspomagać mięśnie, nikogo nie będzie dziwić widok gościa zasuwanego po ulicy na nie do końca własnych nogach. Ale też będziemy mieli ingerencje typu wewnętrznej cyborgizacji organizmu, jeszcze pewnie na stosunkowo niewielką skalę, chociaż w sumie kto wie...

Myślę, że zostanie rozwiązany problem uszkodzeń rdzenia kręgowego, wielu zaburzeń organicznych mózgu czy chorób, które spędzają nam dzisiaj sen z powiek.

Ale człowiek pozostanie człowiekiem, niezależnie od czekających nas przeróbek. Zakochany będzie mocniej odczuwał zapach kwiatów i wzruszał się śpiewem ptaków, a zazdrosny będzie czuł to okropne ściskanie serca, które czyni go nieszczęśliwym. Jednak, mimo wszelkich przeróbek, wciąż pozostanie nam bardzo daleka droga do stadium wytęsknionego przez inżynierów dusz i ciał transczłowieka... A przynajmniej mam taką nadzieję.



W twoich książkach SF widać pewną poetycką nostalgię - w „Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu” znajduje się przepięknie i nastrojowo opisana scena, w której bohater wraca w strefę oddziaływania czarnej dziury, w „Krańcu nadziei” jest zaskakujący motyw z brzmieniem planet. Czy są to tylko strofy wymyślone przez pisarza z płodną wyobraźnią, czy może wyraz pewnej tęsknoty, przeświadczenia, że urodziłeś się kilkaset lat za wcześnie, by doświadczyć tego osobiście?

Każdy pisarz jest jednocześnie w jakiejś części poetą, nawet jeśli nie układa zdań w strofy i rymy. Opis interakcji organizmu człowieka z czarną dziurą jest właśnie taką wizją poetycką. Inna rzecz, że

opartą na pewnych naukowych podstawach.

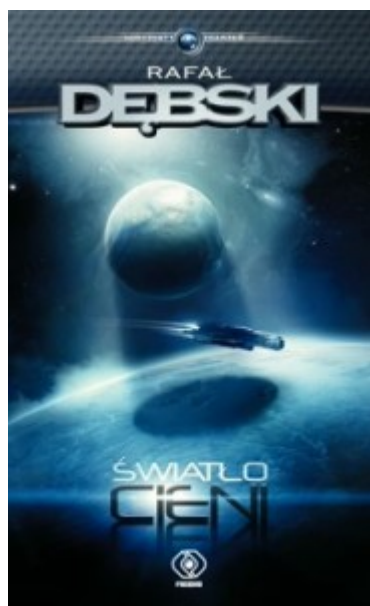
Z kolei pieśni planet... No cóż, opisałem tylko swoje wrażenia po wysłuchaniu istniejących realnie nagrań z przetworzonych na dźwięki danych, uzyskanych z globów i gwiazd. Można je spokojnie nazwać muzyką sfer niebieskich.

Fantastyka „kosmiczno-rakietowa” cieszy się popularnością od dziesięcioleci. Jaką, twoim zdaniem, przeszła w tym czasie ewolucję? Czy w ogóle możliwe jest porównywanie np. wczesnego Roberta Heinleina czy Arthura C. Clarke’a ze współczesnymi twórcami uprawiającymi ten gatunek, np. z Nancy Kress czy Charlesem Strossem?

W ogóle z porównywaniem i zestawianiem literatury sprzed kilkudziesięciu lat i dzisiejszej jest problem. Przede wszystkim, pisze się zupełnie inaczej, albo przynajmniej nieco inaczej. Dla mnie Heinlein, Clarke, Sagan, Pohl i szereg innych autorów to prawdziwi wizjonerzy. Żyli w czasach, gdy wszystko wydawało się możliwe. Tworzyli cudowne opowiadania i powieści. Niektóre z nich może dzisiaj trąć myszką, lecz zachowały niesamowity urok.

My sami już bardziej zdajemy sobie sprawę z ograniczeń współczesnej cywilizacji, zysaliśmy spojrzenie bardziej cyniczne (grzeczniej by pewnie było powiedzieć – realistyczne), więc ten rozmach wizji nie jest zazwyczaj tak imponujący.

No i jest jeszcze kwestia tego, o czym mówiliśmy na początku – dzisiejszy przeciętny odbiorca literatury fantastycznej (i każdej innej) dysponuje naprawdę uboższym generalnie niż kiedyś aparatem poznawczym. Pisarze muszą to brać pod uwagę. Inna rzecz, że sami często miewają spore braki w wykształceniu, co doskonale widać, kiedy się pracuje przy przekładach i redakcji literatury anglosaskiej. To, jakie buraki potrafią sadzić współcześni luminarze pisarstwa z tamtej strony świata, momentami przechodzi ludzkie pojęcie. Jak – dla przykładu – kanały wentylacyjne kosmicznej stacji, które wychodzą w przestrzeń i przez które można urządzić desant...



Gdybyś mógł wybrać trzech autorów fantastycznych historii - począwszy od głębokiej starożytności - z kim chciałbyś umówić się na piwo (kawę, wódkę, herbatę), by porozmawiać o wizjach innych światów?

A mogę trzydziestu? Albo lepiej trzystu? I czy muszą być koniecznie pisarzami fantastyki?

Bo ja bardzo chętnie bym porozmawiał właśnie o takich wizjach z Carlem Gustawem Jungiem. To był wyjątkowo otwarty umysł, nie odrzucał a priori czegoś tylko dlatego, że wydawało się niemożliwe lub niewytłumaczalne, lecz próbował dociec natury rzeczy.

Chciałbym porozmawiać z Teslą, bo uważam go za największego fizyka w historii. Wyrastał nad głowę nawet Einsteinowi i Ruthefordowi. Jego pomysły i hipotezy wciąż porażają. Geniusz.

Kawa z Napoleonem Bonaparte – o tak! To był sprawny władca i znakomity wojownik, a zarazem człowiek zafascynowany nauką i posiadający rozległą wiedzę. Niesamowity umysł.

Jeśli chodzi o żyjących, to moim marzeniem jest wymiana myśli z profesorem Michio Kaku. Szczególnie teraz, kiedy biorę się za drugi tom *Rubieży Imperium*, chciałbym podyskutować właśnie o tym, czym się Kaku głównie zajmuje, to znaczy związkami między oddziaływaniem silnym, oddziaływaniem słabym, grawitacją (co do której istnienia, a przynajmniej jej powszechności mam pewne wątpliwości) i elektromagnetyzmem. Jak by wyglądał wszechświat, w którym po Wielkim Wybuchu wszystko to rozłożyłoby się nieco inaczej niż w naszym? Może profesor umiałby to przystępnie wytłumaczyć, bo ma wyjątkowy dar do komunikatywnego przekazywania wiedzy. Pamiętam, jak kiedyś mój syn, będąc jeszcze w gimnazjum, gdy oglądaliśmy program z udziałem Kaku, w którym profesor omawiał kwestie dotyczące teorii strun, westchnął: „Że też ten gość nie uczy mnie fizyki”.

A pisarze?

Jonatan Swift. Co za mózg! Jaka świeżość spojrzenia! Świeżość i ostrość, przenikająca duszę człowieka niezależnie od epoki, w której ów człowiek żyje.

Oscar Wilde. Z podobnych powodów, z jakich wybrałem Swifta.

Bolesław Prus. Pisarz doskonały w formie i treści, fascynująca osobowość, znakomity obserwator.

Karol Bunsch. Niesamowity styl, warsztat pisarski, a przede wszystkim powalająca intuicja historyczna. Umiał pisać o naszych dziejach tak, że człowiek jest dumny, iż przynależy do tego, a nie innego narodu, a przy tym pozostawał krytyczny zarówno wobec samej historii, jak i ważnych postaci.

To oczywiście tylko początek listy życzeń...

Kiedyś, lata temu, na początku mojej pisarskiej drogi marzyłem również, żeby porozmawiać z Jarkiem Grzędowiczem, Tomkiem Kołodziejczakiem, Markiem Huberathem, Andrzejem Pilipiukiem i paroma innymi twórcami. No i proszę – spełniło się. W dodatku mogę nawet nieśmiało określać się mianem ich kolegi po piórze. A to mi się bardzo podoba!

Z Rafałem Dębskim rozmawia Hanna Fronczak